

ZAWSZE byłam za poniedziałkowym teatrem TV. I choć czasami poniedziałkowe spektakle wydawały się z takich czy innych powodów dyskusyjne, to przecież zawsze była to sztuka przez duże „S”, godna największej widowni teatralnej Polski.

W ostatnich tygodniach z Teatrem TV zaczęło jednak dziać się coś niedobrego. Kto nie wierzy, niech zajrzy do minionych zapowiedzi. Przede wszystkim — wznowienia, właściwie nadmiar wznowień i to wcale nie przedstawień najlepszych; przykład: „Drzwi”, spektakl oglądany niedawno, nie zaliczający się do szczytów dramaturgii współczesnej. Albo „Godziny miłości” — przedstawienie może i godne zarejestrowania na taśmie, a następnie powtórzenia, ale na pewno nie w tak krótkim odstępie czasu.

Samie powtórzenia jednak nie są jeszcze wykładnikiem znikających ambicji. Wiadomo, że muszą być, czasami nawet dobrze, że są, telewizja przygotowała bowiem w latach minionych wiele spektakli znakomych, które — chociaż się pamięta, chętnie obejrzyć można po upływie czasu, a nawet zupełnie inaczej z perspektywy miesięcy na nie spojrzeć. Rezygnacją z górnego „C” wydaje

się zastępowanie prawdziwych dzieł dramaturgii światowej i rodzimej muzyką lekką, żeby nie powiedzieć — podkasaną.

Poniedziałkowy wieczór miał do niedawna swoje godziny misterium. Dzieła klasyków, a także najwybitniejsze pozycje dramaturgów współczesnych znajdowały tu swoje poczesne miejsce. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak niepowtarzalnym zjawiskiem był ów teatr. Zarówno jeśli chodzi o sferę przeżyć

królowej Madagaskaru” wyfarby S. Dobrzańskiego. Mało jest chyba malkontentów, którym to przedstawienie byłoby nie w smak. Zabawne, urocze, obrosłe tradycjami aktorskimi, piękne te tradycje podtrzymane dzięki obsadzie choć nowej, to przecież trafnej i udanej. „Mazurkiewicz, bój się Boga” albo „Kaziu, nie męcz ojca” — to już nie tylko tekst farsy, ale powiedzonka, które weszły do codziennego obiegu. Za mało jest takich

pod petycją o potrzebie rozrywki typu „Zotnerza”, wyraża jednocześnie zdziwienie, że jest ona w stanie zająć w telewizji miejsce wielkiego dramatu. Czy jego autorstwa to są pomysły — nie wiemy, niemniej serdecznie współczujemy. Być może, że zapowiedziana premiera z bież. ty godnia wskrzesi dawne dobre imię poniedziałkowych spektakli. Jeśli nawet tak, to należy wyrazić życzenie, żeby nie na jeden raz, ale na zawsze.

Co prawda wskrzeszenie nie należy do najmocniejszych stron telewizji. Przykład — Kobra. Po wielkiej popularności już od miesięcy ugrzęzła w mętnych poszukiwaniach, a kobrowe przedstawienia można już tylko rozpatrywać w kategoriach: niedobre lub bardzo niedobre. Podobnie z widowiskiem ostatnim (A. i W. Ross — „Annabella”). Jak można mówić o dobrej sztuce kryminalnej, skoro od pierwszej sceny widać, co i jak bohaterka robi i kiedy od pierwszego momentu pozuje na czarny charakter...

W zeszłym tygodniu telewizja zadała nam jedno pytanie: „Czy to się podoba?” Był to tytuł programu rozrywkowego, w którym wzięli udział popularni aktorzy i piosenkarze. Odpowiadamy: owszem.

IRENA RADLIŃSKA

Wieczory przy telewizorze

Godziny pogrzebanych ambicji

artystycznych, jak też o sprawy z innego wymiaru, a mianowicie o tzw. umasowanie kultury teatralnej. Pod tym względem nikt Teatrowi TV nie dorównywał, bo nie mógł dorównać. Żaden bowiem teatr nie jest w stanie zgromadzić na swoje przedstawienia takiej ilości widzów, jak telewizja. Wydawało się, że TV godnie korzysta z tej wielkiej szansy. Aż do roku 1967.

W ub. poniedziałek pokazano nam Tuwimowskiego „Zotnerza

przezabawnych krotoczwów w telewizji, za mało zwłaszcza w sobotnie i niedzielne popołudnia, kiedy nas raczą zamiast rozrywką ciężkostrawną publicystyką, albo coraz gorszymi filmami. Lekka muzyka powinna królować w telewizji we wspomniane dni, które nam zostawiają nieliczne godziny na relaks i nabranie sił na następny okrągły tydzień intensywnej pracy i męczących popołudni przy telewizorze.

Podpisując się więc oburczą